

Miernikowski z jeviennych  
umakem. I. Luxienki.

<http://rcin.org.pl>

Stanisław Wiernikowski.

---



# Z JESIENNYCH WRAŻEŃ.



I. ŁAZIENKI.

Warszawa.

<http://pim.org.pl>

0/

Stanisław Wiernikowski.

---

# Z jesiennych wrażeń.



I. ŁAZIENKI.

Warszawa.

1906.

<http://rcin.org.pl>



Siostrzom moim.

19.465

<http://rcin.org.pl>

Poszedłem do Łazienek . . .

Jesień całkowicie objęła w posiadanie stary park, ubierając drzewa w całą gamę czerwonych i żółtych barw, rozsypując po ziemi szczodłą ręką czerwień i złoto opadłych liści

Cisza tu wielka . . . słyhać tylko od czasu do czasu huk opadających i rozłupujących się kasztanów, które, wypadłszy z łupiny, toczą się po ścieżkach usłanych zwiędniętymi liśćmi.

Smutna i dziwnie przygnębiająca jest ta cisza: zda się, słyhać w niej jakieś zawodzenia i łkania pokutującego ducha. Może to dusza ostatniego wybrańca narodu błąka się po swym królewskim parku, pokutując za winy popełnione i nie-popełnione . . .

Nie . . . to tylko drzewa, pochylane zimnym podmuchem jesiennego wiatru,

szumią w górze, jakby opowiadały sobie o dniach minionych, dniach chwały i smutku.

Stoją te olbrzymy z wyciągniętymi czarnymi ramionami konarów i szepta sobie do ucha opowiadania o tych strojnych tłumach dworzan, które przesuwaly się pod nimi, śpiesząc na królewskie pokoje. Mknęły alejami parku złociste kolasy panów, uczonych, wojskowych i posłów cudzoziemskich.

Tłumy te buchały gwarem i weselem, cisnęły się do drzwi pańskich, lecz nie widziały, widzieć nie chciały, jak straszliwa ręka nad ich głowami wypisywała fatalne mane-tekel-fares

I przeszły, fruwały, jak owe zeschnięte liście, które wiatr całymi garściami rozrzuca po ścieżkach i drogach parku.

. . . . .

Nastaly dni smutku . . .

. . . . .

Stare drzewa wsłuchiwały się pilnie w pomruki miasta. które tam za nimi rozrastało się potężnie, obejmując cały park kamiennym uściskiem swych domów. Odgłosy z miasta, odgłosy bólów,



walk i nadziei zawiedzionych dochodziły tu ciągle, a teraz drzewa powierzają sobie tajemnice minionej przeszłości.

Patrzcie... tam stary klon pochylił się i opowiada młodszemu towarzyszowi o owym pięknym jak marzenie wojowniku, ulubieńcu kobiet i salonów, ulubieńcu Warszawy, który w nurtach Elstry dowiódł, że się nie tylko bawić umiał.

I pochyliły się drzewa z zaciekawieniem ku opowiadającemu, lecz snadź bajka o królewiczu skończyła się wkrótce, i zaczęło się inne smutniejsze opowiadanie, bo drzewa stanęły nagle wyprostowane w niemej boleści... Może je doszły jęki rannych z pól Grochowa i Ostrołęki, dźwięk kajdanów i wrzaski kozaków, a może nie zamarły jeszcze w powietrzu krzyki ostatnich ofiar, broczących w krwi własnej na ulicach Warszawy. --

Zamilkły drzewa... tylko liście z szelestem sypały się, sypały, uścielając zmarzniętą ziemię.

Białe mury pałacu jakoś dziwnie poszarzały, jakby się zwały z otulającym cały park zmrokiem. Jakieś czarne cienie wbiegły na marmurowe kolumny, zsunęły się

po kamiennych schodach i upadły ciemnym całunem na powierzchnię stawów. Potrwożone labędzie przytuliły się do nadbrzeżnych traw i pochowały swe głowy pod skrzydła, jakby ciepłem własnego ciała zasłonić się chciały od chłodu październikowego poranku.

Lecz, co to? . . . w górze silniej zaszumiały drzewa . . . Po całym parku przebiegł jakiś radosny szmer. . . To słońce wyjrzało z za chmury, promienie zsunęły się szybko po drzewach i po przez pozółkłe liście złotymi kroplami upadły na ziemię. Czarne cienie zaczęły szybko uciekać z murów pałacu. Sponiewierany majestat królewskiej siedziby zaśnił w blaskach słońca, które całowało kamienne postacie śpiących nimf i kładło swe złote refleksy na wodach stawów.

Zdziwione labędzie podniosły głowy i patrzyły na olśniewający swą białością pałac, na rozgwarzone i rozpromienione w słonecznych blaskach drzewa. Powiędłe kwiaty podniosły schylone główki i coś szeptać zaczęły.

Wiosna! wiosna! rozbrzmiał wesoly okrzyk po parku.

Amor naciągnął silniej cięciwę i uchem zdawał się łowić zapomniane echa west-

chnień, przysiąg i zaklęć miłosnych; nawet kamienny Satyr przestał wykrzywiać złośliwie twarz i rozśmiał się szczerym, dobrodusznym śmiechem. Sobieski wznosił się na swym kamiennym koniu, jakby zrywał się do boju po nowe zwycięstwa.

Zdawało się że tam... nawet miasto odczuło ogólną radość i buchnęło gwarem wesela i... nadziei.

. . . . .

Chwila!... Prysło złudzenie...

. . . . .

Chmury przesłoniły słońce...

Dawne czarne cienie, które uciekły przed słońcem, zaczęły znów wpełzać na mury pałacu. Zmrok otulił drzewa, pałac, kamienne posągi, pogrążając wszystko w beznadziejnym smutku i zwątpieniu.

. . . . .

Cisza... pustka...

. . . . .

. . . . .

Na ławce dwóch panów w mundurowych czapkach kończy rozmowę:

— Tak, upewniam pana, Pawle Wasyl-jewiczu. oni się niczego spodziewać nie mogą. Ta petersburska „wiosna”, jeżeli była, to minęła bezpowrotnie.—

— Daj Boże, daj Boże! Późno... chodźmy!

. . . . .  
I poszli, a odgłos ich kroków głucho rozbrzmiewał po pustych alejach parku, który coraz bardziej zasnuwały zmroki jesienne. Tylko kopuła cerkiewki długo, długo błyszczała swym złocistym blaskiem.

Warszawa, Październik 1905.







<http://rcin.org.pl>

F

19.465